

Piotr Zaccone

Tajemniczy zbrodniarz

Tłumaczyła: Marya Segeny.

16

– Niech pan będzie przekonany, pułkowniku – odparł usłużnie Lambertin – że pragnę uczynić dla pana wszystko, co jest w mojej możliwości, proszę mi tylko powiedzieć.

– Doskonale, kochany panie... Czy jesteście tu sami? Czy nikt nam nie przeszkodzi?

– Możemy porozmawiać zupełnie swobodnie i bez obawy, że rozmowa nasza przerwana zostanie.

– A to się szczęśliwie składa – uśmiechnął się pułkownik, siadając obok Lambertin'a. – Otóż, co mnie tu sprowadza – zaczął tonem pewnym i swobodnym. – Kilka dni temu, po premierze, która ściągnęła prawie Paryż cały do teatru „Varietés”, poszedłem na kolację do Brebanta, w towarzystwie kilku przyjaciół i paru młodych kobiet, które właśnie występowały w tej premierze. Pan wybaczy, że zagląbam się w takie szczegóły, ale są konieczne do illustrowania zamiaru, jaki mnie tu sprowadził.

– Ależ proszę, panie pułkowniku, proszę bardzo – zapewnił Lambertin – słucham z uwagą.

– Pan to rozumie! To jest typowe życie takiego olbrzymiego miasta jak Paryż, a na prowincji rzeczy te są nieznane i w innym świetle widziane. Było nas dziesięć osób. Przyjaciółom moim nie zbywało na dowcipie, kobiety były sympatyczne i wesołe, dodajmy do tego muzykę i szampan, a będzie pan miał pojęcie o nastroju, jaki między nami panował. Co do mnie, przyznać muszę, że chociaż już dobrze zblazowany jestem na przyjemnościach tego rodzaju, mam jednak chwilę, kiedy to całe szluczne, a ponętne życie pociąga mnie i pochłania w taki gwałtowny sposób, że zapominam o przeżytych latach i staję się znowu młodym człowiekiem, pragnącym użycia i śmiechu.

– Tak, tak – przytakiwał Lambertin, w którego oczach błysnął płomień na wspomnienie Paryża i jego uciech.

– Bawiliśmy się więc już od dwóch godzin – mówił dalej pułkownik – kiedy jedna z naszych towarzyszek, mała Berta, wymówiła nagle imię pewne, na dźwięk którego zadrżeliśmy wszyscy.

– Co za imię?

– Imię Bonnet. Ten Bonnet pochodzi z Saint-Nicolas i dawno już temu wyjechał do Indyi, nie pozostawiając żadnych śladów za sobą. Panu to może nie było wiadomem? – zapytał pułkownik, patrząc bystro na Lambertin'a.

– Wszystko to jest mi dobrze wiadomem – odpowiedział tenże.

– A więc wie pan i o tem, że tam dorobił się kolosalnego majątku.

– Tak mówią – i mówią także, że ten Bonnet zmarł niedawno w Indyach. Tylko, że skonstruowanie tego ostatniego faktu nie nadeszło jeszcze do Francji, a w tej sytuacji niejasnej...

– Tak jest. Ale myśl o tej niecodziennej fortunie, możliwości śmierci Bonnet'a, podnieciły umysły spadkobierców i ta mała Berta, o której panu wspominałem, zaczęła na dobre marzyć, że stanie się wkrótce właścicielką indyjskich milionów.

– Musi być zatem krewną tego Bonnet'a?

– Zapewne. Nigdy na pewne wiedzieć nie można, jakiego pochodzenia są podobne kobiety. Utrzymują zatem, że jest krewną tego awanturnika i przez jakiś czas łudziła się nadzieją, że powołana zostanie do podjęcia po nim sukcesji. Na nieszczeście dla niej, w brutalny sposób przywołano ją do rzeczywistości.

– W jaki sposób? – zapytał Lambertin, zainteresowany opowiadaniem pułkownika.

– Powiedziano jej, że przed wyjazdem swoim do Indyi, Bonnet miał tu mieć dziecko, w Saint-Nicolas i że nie tylko dziecko to uznał jako swoje własne, ale napisał testament na jego korzyść, zapisując mu wszystko to, czemby mógł kiedyś rozporządzać w przyszłości. Zrozumie pan, jak ta wiadomość podziałała na biedną Bertę. Od dnia tego odkrycia szaleje poprosu z niepokojem i rozpaczem. Jeżeli jej powiedziano prawdę, to na zawsze pożegnać się musi z marzeniami o bogactwach i wielkości i zgodzić się musi z nie-

miłą perspektywą dalszego życia w niepewności, które nawet nie jest w stanie dać jej zapewnienia jakiegokolwiek na stare lata.

Lambertin słuchał z uwagą, ale jednak jeszcze nie mógł zrozumieć, jaki ta cała historia może mieć związek z przybyciem pułkownika i jakiego wyjaśnienia od niego żądać będzie.

Pułkownik odgadł stan jego umysłu, bo rzekł nagle z dobroduszną żywością:

– Zaraz to panu wytłumaczę, nie mam celu ukrywać przed panem powodu mojego przybycia tutaj. Jeżeli tak, jak mówią, Bonnet uczynił zapis na korzyść dziecka, o którym mówiłem, to akt ten egzystować musi, a w takim razie znajduje się w posiadaniu pana Durandau, w którego biurze spisany był. Otóż, jeżeli tak jest, to pan prędzej, niż ktokolwiek inny, może mnie w tym kierunku poinformować, a będę panu bardzo zobowiązany, jeżeli pan to uczynić zechce.

Lambertin namyślał się przez chwilę, poczem uczynił gest, mówiący, że się zgadza.

– To, czego pan żąda odemnie – wyrzekł – jest zupełnie naturalne i w zakresie mojej działalności i zdaje mi się, że pan Durandau również nie omieszkałby zaspokoić ciekawości pana.

– Otóż to mi się podoba – oświadczył z zadowoleniem pułkownik Robert. – Wiedziałem, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym i usłużnym.

– Tak, jak pan mówił – ciągnął dalej Lambertin. – Bonnet, który tu w grę wchodzi, zrobił przed wyjazdem do Indyi testament i zapisuje w nim cały swój majątek w przyszłości dziecku, które uznał za swoje.

– I ten testament jest tutaj złożony? – zapytał żywo pułkownik.

– Tak jest.

– Nie śmiem pana prosić o zaznajomienie mnie z jego treścią.

– Gdybym nawet chciał, nie byłbym w stanie zasłusować się do pana życzenia.

– Dlaczego?

– Wszystkie autentyczne akta, wogóle wszelkie ważniejsze papiery są zamknięte w tej szafie żelaznej, którą tu pan widzi. Szyfry zamku są tylko znane panu Durandau, a gdybym nawet je znał, nie mógłbym się niemi posłużyć.

– Dlaczego, kochany panie? – szepnął przekonywająco pułkownik Robert, przysuwając się do pana Lambertin.

– Bo nie leży to w zakresie mojej działalności – odparł tenże z prostotą.

Pułkownik uśmiechnął się grzecznie.

– A niechże mnie Bóg broni – zawołał żywo – ażebym śmiało nalegać na pana. Akt znajduje się w rękach pana Durandau jako cenny depozyt, powinien tam pozostać nadal. Tylko byłbym bardzo rad... zdać sobie nareszcie sprawę ze stanu rzeczy... z sytuacji całej... i dlatego tylko...

– Jest jednak sposób na to... – wyrzekł po chwili pan Lambertin.

– Jakież? Kochany panie, jakież to? – zapytał gorączkowo pułkownik.

– Nie mam autentycznych aktów do dyspozycji, to prawda, wiem jednakże, gdzie mógłbym znaleźć odpisy... a odpisy te mógłbym bez przeszkody...

– Zrobiłby to pan naprawdę?

– Tak, tylko potrzebuję trochę czasu na te poszukiwania.

Błysk szalonej radości rozjaśnił twarz pułkownika.

– Oh! Jeżeli tylko o to chodzi! – zawołał. – Niech pan spokojnie użyje potrzebnego czasu! Powiem nawet panu, że taka zwłoka odpowiada mi zupełnie i wykorzystam sposobność, która mi się nasuwa.

– Co za sposobność?

– Mam kilka ważnych spraw do załatwienia w Marsylii i nie mogę pozostać dłużej w Saint-Nicolas. Opuścić więc pana. Ale byłby pan naprawdę bardzo uprzejmy i panna Berta będzie panu za to niewymownie wdzięczna, jeżeli zechce pan dziś wieczór, po godzinach biurowych, przybyć do Marsylii i przywieźć nam te kopie, które zapewne do tego czasu zdoła pan odszukać.

– Pan chce, żebym udał się do Marsylii? – wymówił zdumiony trochę Lambertin.

– Chcę jeszcze coś więcej, mój kochany panie. Niech pan posłucha mnie, proszę: o godzinie piątej powóz mój zajędzie tu po pana. Wsiądzie pan do niego, zabierając ze sobą potrzebne dokumenta, które przejrzeć pragnę i przepędzi pan godzinę ze mną i małą Bertą,

która, nawiasem mówiąc, wcale jest przyjemną dziewczyną.

– Jakto? – zawołał Lambertin, czerwieniąc się gwałtownie – Ta młoda osoba jest z panem?

– Oczywiście! – odparł spokojnie pułkownik. – Chciała mi nawet towarzyszyć tutaj, ale jej to wyperswadowałem. Berta jest bardzo miłą kobietą, sprytna, wesoła, zgrabna, prawdziwy typ pociągającej paryżanki. Zresztą sam się pan o tem wkrótce przekona. Sądzę, że zawód pana nie broni przepędzić panu godzinę na rozmowę z ładną kobietą. – zaśmiał się pułkownik, obrzucając pana Lambertin rozbawionem spojrzeniem.

Lambertin za całą odpowiedź roześmiał się również wesoło, podniecony miłą perspektywą przepędzenia reszty dnia w niecodziennym nastroju.

– A więc to rzecz postanowiona. – rzekł pułkownik.

– Skoro panu tak na tem zależy. – odpowiedział pan Lambertin uprzejmie.

– Powóz odwiezie pana, kiedy tylko pan zechce i nikt nie spostrzeże pana nieobecności. A więc do wieczora, nieprawdaż?

– Tak, do wieczora.

– Doskonale! Doprawdy, jestem bardzo zadowolony z poznania pana.

Mówiąc to, pułkownik uściśnął rękę pana Lambertin i wyszedł na ulicę, gdzie oczekiwał jego powóz.

Pan Lambertin zaś pozostał sam w biurze, bardzo wzruszony tą nieoczekiwaną wizytą, z głową pełną marzeń i pragnień nieuchwytnych.

Pułkownikowi Robert udało się dosyć łatwo wywieźć z Paryża uroczą osobkę, którą nazywano powszechnie Bertą o małych nóżkach.

Była ona dosyć znana w mieście, gdzie zdołała już sobie uzyskać pewną sławę i uznanie. Posiadała bowiem pewien wdzięk wrodzony, który wyróżniał ją od innych kobiet, a pozątem posiadała pewne zalety. Była prawie dobrze wychowaną. Uroda jej, świeżość i wesołe usposobienie, mimowoli pociągały wszystkich do niej.

Spojrzenie jej ciemnych oczu miało w sobie urok nęcący. W pewnych chwilach, kiedy jej specjalnie zależało na tem, wybiegały z nich jakieś prądy gorące i magiczne, które obejmowały upatrzoną ofiarę dyskretną, a silną pieśszczotą, wzbudzającą dreszcze pożądania i podziwu.

Wybór więc pułkownika Robert był bardzo trafny. Kobieta ta znakomicie mogła odegrać rolę, do której ją przeznaczył.

Pewnego wieczoru rzekł jej, pokazując naszyjnik perłowy wielkiej wartości:

– Jeżeli zechcesz, za kilka dni klejnot ten będzie twoją własnością.

Berta przepadała za perłami.

Zapytała tylko dla formy, co będzie zmuszona uczynić wzamian i zdawała się być bardzo zdumioną, kiedy pułkownik objaśnił, czego od niej żąda.

Musiła opuścić Paryż na kilka dni, przepędzić czas jakiś w Marsylii, gdzie usidlić miała ładnego, trzydziestoletniego chłopca, nie znającego zupełnie życia i naiwnego, jak małe dzieci. O kobietach z Paryża wiedział tyle, co wyczytał niekiedy z dzienników, a w gruncie nie miał o nich najmniejszego wyobrażenia.

Berta przejęła się szybko narzuconą sobie rolą. Posiadała w wysokim stopniu zalety, wymagane od niej w tym kierunku i z pewną niecierpliwą ciekawością oczekiwała chwili poznania przedmiotu, mającego paść ofiarą jej uroku i podstępnej kokleterii.

Kiedy pułkownik powrócił z Saint-Nicolas, po widzeniu się z Lambertin'em, obrzuciła go nawałnicą gorączkowych pytań.

– Czy to brunet, czy blondyn? Jakiego miał oczy – jasne, czy ciemne? A zęby, czy białe? Wzrost? Zachowanie?

Odpowiedzi pułkownika zadowolili ją dosyć i z całą uwagą przyjmowała jego uwagi i ostrzeżenia co do sposobu postępowania, uśmiechając się od czasu do czasu porozumiewawczo.

– Niech mi pan już resztę pozostawi. – rzekła wkońcu – Mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze mnie, a ten pana znajomy, ten Lambertin, bardzo się na mnie uskarżać nie będzie.

Wówczas pułkownik wyciągnął pudełko, zawierające naszyjnik perłowy i rzekł uprzejmie:

– Widzę, że mogę ci zaufać, moje dziecko, nie chcę więc, abyś dłużej oczekiwała na nagrodę